



Orson Scott Card "Zaginione wrota" (fragment 2)

Fahrenheit Crew

Wdrapał się więc na drzewo drugi raz tego dnia, tym razem pomału, sprawdzając przed chwyceniem każdej kolejnej gałęzi, czy lewa ręka i bark utrzymają jego ciężar.

Kiedy był już tak wysoko, że nie widział ludzi na dole, znalazł się w miejscu, gdzie nie miał się czego przytrzymać. Następna gałąź nad nim była poza jego zasięgiem. A mimo to poprzednio wchodził tędy. Na tej wysokości nie było żadnych innych dróg wspinaczki.

Wtedy szybciej się ruszałem, pomyślał Danny. Prawie wbiegłem na drzewo. Musiałem podskoczyć i złapać się gałęzi, nawet tego nie zauważając.

Wiedział jednak, że to nieprawda. Zauważyłby i zapamiętał taki skok – choćby po to, żeby potem się nim chwalić.

Wspinał się wtedy na drzewo w takim samym transie, w jaki wpadał podczas biegu. Kiedy biegł co sił, nie pamiętał, żeby wybierał trasę czy patrzył pod nogi; tak samo podczas swojej poprzedniej wspinaczki nie zwracał uwagi na to, których gałęzi się łapał, choć teraz, za drugim razem, miał w pamięci każdy chwyt, każde wyciągnięcie ręki.

Zamknął oczy. Jakże mógłby zejść na dół i powiedzieć im, że nie jest w stanie wspiąć się tak wysoko jak przedtem? Uznaliby, że nie chce tego zrobić na złość. A gdyby ktoś inny wdrapał się na tę samą wysokość i zobaczył T-shirt wiszący daleko poza zasięgiem ręki? Co by sobie pomyślał? Że Danny nie chce uwolnić dziewczyn z ich więzienia, ot co. Wówczas wujek Poot poprosiłby drzewo, żeby poświęciło i ułamało żywą gałąź, a Danny'ego spotkałaby sroga kara. I wtedy już na pewno stałby się dla nich zwykłym drewnem.

A mimo to wiedział, że jest droga na górę, i nie tylko dlatego, że logicznie rzecz biorąc, skoro koszulka była zawiązana na gałęzi, to musiał tam dotrzeć. Wiedział, że jest droga na górę, bo ją wyczuwał – i gdzie się zaczyna, i dokąd prowadzi, mimo że nie widział nic, czego mógłby się złapać.

Zamknął oczy i wyciągnął rękę do góry, sunąc dłonią po szorstkim pniu. Ach, gdybyś mógł do mnie przemówić, dębnie szkarłatny, gdybyśmy byli przyjaciółmi! Gdybyś mógł przygiąć mi gałąź...

I kiedy to pragnienie zmieszało się z rozpaczą, wykręcił się w bok i podskoczył. Nawet jeśli nie złapie gałęzi i runie na ziemię, to co? Jeśli nie ściągnie tych dziewczyn na dół, jego dni i tak będą policzone.

Dłoń zacisnęła się na gałęzi. Otworzył oczy.

To nie była następna gałąź z kolei, ta, do której daremnie sięgał przed chwilą. To była gałąź, na której wisiał T-shirt.

Jak stamtąd dostałem się tutaj?

Od razu sam sobie odpowiedział na to pytanie. Nie mogłem tego dokonać przy użyciu rąk i nóg. Nie ma też takiej magii, która pozwoliłaby dwunastoletniemu chłopcu podskoczyć na wysokość trzy razy

większą od jego wzrostu.

Chociaż nie, taka magia istniała, tylko że Danny nigdy się z nią nie zetknął. Nikt na świecie nie zetknął się z nią od 632 roku naszej ery. Musiał zamknąć oczy i odetchnąć głęboko, żeby ogarnąć myślą to, co się stało.

Musiałem zrobić wrota. Małe, takie, które przenoszą mnie tylko stamtąd tutaj. Musiałem je zrobić podczas pierwszej wspinaczki i teraz przeleciałem przez nie, kiedy podskoczyłem.

Czytał o takich wrotach w książkach. To były wrota, które leżały w zasięgu możliwości Braci Ścieżek, może nawet niektórych Przyjaciół Zamków, w dawnych czasach, kiedy na świecie jeszcze praktykowano magię wrót. I teraz, kiedy myślał o tym w ten sposób, dostrzegł, gdzie dokładnie wrota się zaczynają, a gdzie kończą. Nie było to nic widzialnego, nawet nie drganie powietrza czy zmiana układu liści, jaka powstała przy wędrowce tymczasowego klantu wujka Poota. Po prostu wiedział, że tam są, wiedział, gdzie mają początek, a gdzie koniec.

Zrobił wrota. Ile innych nieświadomie stworzył? Niechybnie takie wrota jak te pozwalały mu ominąć drzewa strzegące granicy ziemi Northów. Od kiedy je robił? Ile ich było?

Ledwie to pytanie uformowało się w jego myślach, a już przyszła odpowiedź. Wyczuwał rozmieszczenie wszystkich wrót, jakie kiedykolwiek stworzył. Było ich trochę ponad dwadzieścia, ale ze swoich lektur wiedział, że to naprawdę dużo. Nawet Brat Ścieżek mógł zrobić najwyżej tuzin wrót wszelkich rozmiarów, bo w każdym z nich mag musiał zostawić część swojego zewnętrznego ja. Przeszkolony, doświadczony mag wrót mógł pozamykać wszystkie stworzone przez siebie wrota, usunąć je i poskładać fragmenty swojego zewnętrznego ja z powrotem. Danny jednak nie miał pojęcia, jak to się robi. I nie było nikogo, kto mógłby go tego nauczyć.

Zrobiłem ponad dwadzieścia wrót, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, w ogóle tego nie czując. A mimo to znajdowałem te, które prowadziły poza osadę, bo intuicyjnie wiedziałem, gdzie dokładnie są, dokąd wiodą i jak z nich korzystać.

Wszystkie nadal były na ziemi rodziny Northów i tylko czekały, aż ktoś przypadkiem wpadnie w któreś z nich i błyskawicznie przeniesie się w inne miejsce. Wystarczy, że zdarzy się to raz, i przypadkowy znalazca zrozumie, że na świecie znów pojawił się mag wrót, i to dość silny, by stwarzać własne wrota, a nie tylko znajdować i otwierać cudze.

Danny radował się, że jednak nie jest drekką, lecz całkiem potężnym magiem, i to najrzadszego rodzaju. Jednak upajające poczucie triumfu studził fakt, że w rodzinie Northów gorzej było być magiem wrót niż drekką.

Albowiem ostatnim magiem wrót na świecie był Loki psotnik, potwór Loki, który zatrzasnął wszystkie Wielkie Wrota na świecie tak skrupulatnie, że momentalnie ustał wszelki ruch między Westilem a Mitlegardem. To zdruzgotało potęgę wszystkich rodów, gdyż zachowanie najpotężniejszych mocy wymagało regularnego przemieszczania się między tymi dwoma światami. Magia zgromadzona w jednym powiększała się stokrotnie w wyniku przejścia Wielkimi Wrotami do drugiego. Małe wrota jak te, które stworzył Danny, takiej mocy nie posiadały – prowadziły z Ziemi w inne miejsce na Ziemi i nie znaczyły nic oprócz tego, że jego ciało przenosiło się stąd tam. Za to Wielkie Wrota zmieniły magów z Westilu w bogów, kiedy przybyli tutaj, do Mitlegardu.

A kiedy się zamknęły, kiedy Loki dopilnował, by nikt nigdy nie mógł ich odnaleźć – nawet tych wrót, które istniały trzy tysiące lat przed jego epoką – bogowie stali się zwyczajnymi magami, których łatwo odszukać i zabić, gdyby komuś na tym zależało. Mogli zginąć od ciosów mieczy suszłaków albo strzał z ich łuków. Musieli nauczyć się ostrożności, żyć w odosobnieniu, udawać zwykłych ludzi.

Ukryć się tak, jak rodzina Northów ukryła się tutaj, wśród wzgórz Wirginii, gdzie wielu ludzi stroniło od świata i inni na ogół zostawiali ich w spokoju.

Na początku toczono wojny, by zmusić Northów do ponownego otwarcia wrót, nikt bowiem nie wierzył, że czyn Lokiego nie jest częścią jakiegoś niecnego planu. Dopiero kiedy rody zdziesiątkowały się nawzajem i Northowie uciekli z Leivem Eirikssonem do Winlandii – dopiero wtedy, widząc ich bezsilność w obliczu pięciu stuleci zmasowanych ataków, wszyscy w końcu uwierzyli, że Loki działał w pojedynkę, że Northowie nie ukrywają jakichś tajnych wrót do Westilu, które pozwoliłyby im osiąść moc, jakiej nie oparłaby się żadna inna rodzina.

Mimo to, po podboju Ameryki, rodziny znów od czasu do czasu wypowiadały wojnę Northom – zawsze wtedy, gdy ból rozłąki z Westilem stawał się nie do zniesienia – choćby po to, żeby ich pokarać albo może doszczętnie zniszczyć, bo i na cóż innego zasługiwali?

Jednak wszystkie rozejmy i traktaty, które podpisywano i łamano, by potem podpisać je i złamać znowu, nieodmiennie zawierały jedną klauzulę: że jeśli na świat przyjdzie mag wrót, bez względu na to, w której rodzinie, ale szczególnie u Northów, zostanie on zabity. Nie tylko zabity, ale i pocięty na kawałki, które następnie miano rozesać wszystkim rodom w dowód przestrzegania układu.

W przeciwnym razie rodzina, która pierwsza by miała maga wrót, zyskałaby druzgocącą przewagę i mogła zniszczyć pozostałe. Każda z rodzin bała się, że inne będą oszukiwać, ponieważ wszystkie tak by postąpiły w podobnej sytuacji.

Gdyby któryś z dorosłych obserwował Danny'ego przez swojego klanta i zobaczył, co zrobił, żeby wspiąć się na tę wysokość, po zejściu na ziemię chłopiec zostałby zaszlachtowany na miejscu. Nikomu by ręka nie drgnęła. Jeśli bowiem ktoś przyłapie Northów z magiem wrót o choćby najmniejszej mocy, pozostałe rodziny zjednoczą się na nowo i tym razem nie spoczną, dopóki nie wybiją ich do nogi.

Jestem magiem obdarzonym mocą robienia czegoś, czego nie potrafi żaden spośród żyjących magów; a mimo to już jestem trupem, myślał Danny. Gdyby Loki nie spletał swojego potwornego, niewytłumaczalnego psikusa i nie zamknął wrót, odkrycie mojej mocy byłoby powodem do świętowania. Natychmiast zostałbym jednym z najważniejszych członków rodziny, prości magowie zwierząt jak Zog musieliby być mi posłuszni, a Lem i Stem już nigdy by nie ośmielili się podnieść na mnie ręki. Jednak Loki pozamykał wrota i teraz samo to, że oddycham, jest zbrodnią. Gdybym był grzecznym chłopcem, rzuciłbym się z tego drzewa i umarł, oszczędzając im trudu zabicia mnie.

Jednak aż tak greczny nie był.

Nie był im nic winien. Nie był jednym z nich. Nie akceptował ich władzy nad sobą. Zrobi wszystko, żeby nie dać się zabić.

Lecz tak naprawdę nie potrafił posługiwać się swoją mocą. Zrobił wrota, ale nieświadomie; potrafił wykreślić w myśli mapę wskazującą, gdzie są wszystkie pozostałe, które stworzył, nie miał jednak pojęcia, jak zrobić nowe. Choć przydałyby mu się teraz wrota, które zabrałyby go z czubka tego drzewa do Kanady czy Brazylii, nigdy jeszcze nie stworzył takich, które przeniosłyby go na odległość większą niż pięćdziesiąt metrów, i ani jednych nie powołał do istnienia świadomie.

Dlatego powoli, ostrożnie przesunął się w miejsce, gdzie przywiązał koszulkę, rozplątał ją, rozłożył i uwolnił dwa słabe duszki. Zewnętrzne ja dziewczyn natychmiast odrzuciły od siebie wszystkie części kłanów i gałązki, liście i skorupy orzechów spadły i sfrunęły na ziemię. W tej samej chwili na piętrze szkoły Tina i Mona otwierały oczy; bez wątplenia ryczały, tuliły się do siebie i przeżywały to, jak przerażające doświadczenie je spotkało.

I prawie na pewno więcej nie będą machać mi przed nosem swoimi klientowymi cyckami i tyłkami, pomyślał Danny, jeśli jeszcze kiedyś będę ich musiał pilnować. Czyli mój plan jednak się sprawdził, pomijając ten drobiazg, że omal nie przypląciłem go życiem.

Zaczął powoli schodzić z drzewa, zatrzymując się tu i tam, żeby spróbować dosłyszeć, co się dzieje na dole. Nagle się zorientował, że bark już wcale go nie boli. Że przestał boleć w chwili, kiedy wskoczył we wrota i zawisł na gałęzi, na której zawiązał koszulkę. Spojrzał na swoje ramię i nie zobaczył najmniejszego śladu urazu – ani sińca, ani zadrapania.

Wrota uzdrawiają. Coś na ten temat słyszał, ale że było to zaletą magii wrót, niewiele się o tym mówiło. Kiedy ciocia Uck wspomniała, że nie mają pierwszorzędnego uzdrowiciela, chodziło jej o brak Przyjaciela Łąk, który specjalizował się w ziołach i potrafił wzmocnić ich lecznicze działanie. Jednak do 632 roku naszej ery wszelkie urazy można było leczyć, przeciągając bądź przepychając kogoś przez wrota.

Jeśli zobaczą jego bark, wszystkiego się domyślą. Uraz był na tyle poważny, że nie mógł się zagoić, nie zostawiając śladu. Tylko mag wrót mógł tego dokonać.